



MANITOU

GRAHAM MASTERTON



Prolog

Zadzwonił telefon. Doktor Hughes, nie podnosząc wzroku, wyciągnął rękę, aby poszukać aparatu. Dłoń wędrowała pośród stosów papierów, kałamarzy, gazet sprzed tygodnia i pozgniatanych pudełek po kanapkach. Natrafiła na telefon i podniosła słuchawkę.

Doktor Hughes przysunął słuchawkę do ucha. Był wymizerowany i zirytowany niczym wiewiórka próbująca ukryć orzechy.

- Hughes? Tu McEvoy.
- Tak? Przepraszam, ale jestem bardzo zajęty.
- Nie chciałem ci przeszkadzać, ale mam tu na dole pacjentkę, której stan powinien cię zainteresować.

Doktor Hughes pociągnął nosem i zdjął okulary bez oprawki.

- Co to za stan? – zapytał. – Słuchaj, to bardzo miłe z twojej strony, że dzwonisz do mnie, ale mam tu cały stos papierkowej roboty i naprawdę nie mogę...

McEvoy nie dał się zniechęcić.

– Hm, ale naprawdę uważam, że to cię zainteresuje. Guzy to twoja specjalność, prawda? A tu mamy taki, przy którym wszystkie inne błędną.

– A co jest w nim takiego wyjątkowego?

– Jest umiejscowiony na karku. Pacjentka rasy białej, dwadzieścia trzy lata. Żadnej uprzedniej historii jakichkolwiek narośli, złośliwych czy łagodnych.

– No i...?

– Porusza się – oświadczył doktor McEvoy. – Ten guz rzeczywiście się rusza, jakby pod skórą było coś żywego.

Doktor Hughes rysował kwiatki długopisem. Na chwilę zmarszczył brwi.

– Zrobiłeś prześwietlenie? – spytał.

– Będzie za dwadzieścia minut.

– W dotyku?

– Jak każdy inny guz. Tylko że się wije.

– Próbowaleś naciąć? Może to po prostu infekcja.

– Najpierw poczekam na zdjęcie.

Doktor Hughes w zamyśleniu ssał końcówkę długopisu. W myślach wertował wszystkie strony wszelkich medycznych podręczników, jakie w życiu pochłoniął, poszukując podobnego przypadku lub precedensu, a nawet czegoś choćby pozornie łączącego się z przypadkiem poruszającego się guza. Może to przez zmęczenie, ale w żaden sposób nie potrafił niczego znaleźć.

– Jack?

- Tak, jestem tu ciągle. Która jest godzina?
- Dziesięć po trzeciej.
- W porządku. Zaraz zejdę.

Hughes odłożył słuchawkę, opadł na oparcie fotela i przetrął oczy. Dzisiaj były walentynki, a na ulicach Nowego Jorku temperatura spadła do minus dziesięciu, na chodnikach leżała piętnastocentymetrowa warstwa śniegu. Niebo miało stalową barwę i było zaciągnięte chmurami. Sznur samochodów posuwał się powoli na wyciszonych jezdniach. Widziane z osiemnastego piętra Szpitala Sióstr z Jerozolimy miasto przedstawiało się przedziwnie w błyszczącej poświacie, jakiej nigdy dotąd nie widział.

Zupełnie jakbym znalazł się na Księżycu, pomyślał doktor Hughes. Albo na końcu świata. Albo w epoce lodowcowej.

Popsuło się ogrzewanie, więc nie zdjął płaszcza. Siedział w kręgu światła biurkowej lampy, wyczerpany młody człowiek w wieku trzydziestu trzech lat, z nosem ostrym i spiczastym niczym skalpel i z czupryną ciemnokasztanowych włosów. Wyglądał bardziej na młodocianego mechanika samochodowego niż na krajowego eksperta od nowotworów złośliwych.

Nagle drzwi do jego gabinetu otworzyły się i do środka weszła zażywna kobieta o siwych włosach z okularami w czerwonych oprawkach na czole, niosąca naręczce papierów i kubek kawy.

- Trochę więcej papierkowej roboty, doktorze. Pomy-

ślałam też, że przyda się panu coś na rozgrzewkę.

– Dziękuję, Mary. – Hughes otworzył nową teczkę, którą mu przyniosła, i mocniej pociągnął nosem. – Jezu, widziałas to? Mam tu być ekspertem, a nie urzędnikiem. Wiesz, zabierz to i podrzuć doktorowi Ridgewayowi. On lubi papierkową robotę. Bardziej od ciała i krwi.

Mary wzruszyła ramionami.

– To właśnie doktor Ridgeway przysłał to panu.

Hughes wstał. W palcie wyglądał niczym Charlie Chaplin w *Gorączce złota*. Poirytowany machnął teczką i przewrócił jedyną kartkę walentynkową, którą – jak się domyślał – przysłała mu matka.

– Dobrze, już dobrze. Przyjrzę się temu później. Zejdę na dół, do doktora McEvoya. Ma dla mnie pacjentkę, którą muszę obejrzeć.

– Dużo czasu to panu zajmie, doktorze? – spytała Mary. – Ma pan spotkanie o szesnastej trzydzieści.

Spoglądał na nią zmęczonymi oczami, jakby się zastanawiał, kim jest ta kobieta.

– Dużo? Nie, raczej nie. Tylko tyle, ile trzeba.

Wyszedł z gabinetu na korytarz oświetlony jarzeniówkami. Szpital Sióstr z Jerozolimy był kosztowną prywatną kliniką, nigdy nie pachniało tu niczym tak praktycznym jak fenol czy chloroform. Podłogi wyłożono grubym, czerwonym dywanem, a na każdym rogu stały świeże kwiaty. Bardziej przypominał hotel, do którego dyrektorzy w średnim wieku zabierają swoje sekretarki na weekend

wyuzdanego grzechu.

Hughes wezwał windę i zjechał na piętnaste piętro. Patrząc na swe odbicie w lustrze w kabinie windy, uznał, że wygląda na bardziej chorego od niejednego ze swoich pacjentów. Może zrobi sobie urlop. Jego mama zawsze lubiła Florydę, a może nawet odwiedzą siostrę Hughesa w San Diego.

Przeszedł przez dwoje wahadłowych drzwi i dalej do gabinetu doktora McEvoya. Ten niski, mocno zbudowany mężczyzna nosił kitle o wiele za ciasne pod pachami. Przypominał parówkę przebraną za chirurga. Twarz miał dużą i nalaną jak księżyc, dziobatą cerę i perkaty nos Irlandczyka.

Kiedyś grywał w drużynie futbolowej szpitala, aż pękła mu rzepka kolanowa w gwałtownym zwarcu. Obecnie chodził, przesadnie kulejąc.

– Dobrze, że przyszedłeś – przywitał Hughesa z uśmiechem. – To bardzo szczególny przypadek, a wiem, że jesteś największym ekspertem na świecie.

– Bez przesady – odparł Hughes – ale dziękuję za komplement.

McEvoy wetknął palec do ucha i obracał nim z wielkim namysłem i uwagą.

– Zdjęcia rentgenowskie będą za pięć lub dziesięć minut. Tymczasem nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Mogę zobaczyć pacjentkę? – spytał Hughes.

– Oczywiście. Jest w mojej poczekalni. Raczej zdjął-

bym płaszcz na twoim miejscu. Pacjentka pomyśli, że sprowadziłem cię z ulicy.

Doktor Hughes odwiesił bezkształtny, czarny płaszcz i poszedł za kolegą do jaskrawo oświetlonej poczekalni. Były tam fotele, czasopisma i kwiaty oraz akwarium pełne kolorowych, egzotycznych rybek. Przez rolety wpadał niesamowity, metaliczny poblask popołudniowego śniegu.

W rogu pokoju czytała gazetę szczupła, ciemnowłosa dziewczyna. Miała pociągłą, delikatną twarz – zupełnie jak elf, pomyślał Hughes. Nosila prostą sukienkę koloru kawy, przy której jej policzki przybrały ziemistą barwę. Jej zdenerwowanie zdradzała jedynie popielniczka wypełniona niedopałkami oraz chmura dymu w powietrzu.

– Panno Tandy – odezwał się doktor McEvoy – oto doktor Hughes. Specjalista w takich przypadkach jak pani. Chciałby tylko obejrzeć panią i zadać kilka pytań.

Panna Tandy odłożyła gazetę i uśmiechnęła się.

– Oczywiście – odpowiedziała z charakterystycznym akcentem z Nowej Anglii. Dobre pochodzenie, pomyślał Hughes. Nie musiał zgadywać, czy jest zamożna, czy też nie. Nie szukało się porady w Szpitalu Sióstr z Jerozolimy, jeżeli człowiek musiał się liczyć z każdym groszem.

– Proszę się pochylić – polecił. Panna Tandy zgięła się wpół, a Hughes uniósł włosy na jej karku.

W zagłębieniu u nasady czaszki znajdowała się gładka, okrągła narośl mniej więcej wielkości i kształtu szklanego przycisku do papieru. Lekarz przesunął po niej palcami;

wydawało się, że ma normalną konsystencję łagodnego włókniaka.

– Jak długo to pani ma? – spytał.

– Dwa lub trzy dni – odparła panna Tandy. – Umówiłam się na wizytę, gdy tylko zaczęło rosnąć. Przestraszyłam się, że to... rak albo coś podobnego.

Hughes spojrział na kolegę, marszcząc czoło.

– Dwa lub trzy dni? Jest pani pewna?

– Tak – odpowiedziała pacjentka. – Dzisiaj jest piątek, prawda? Wyczułam go po raz pierwszy we wtorek rano po przebudzeniu.

Hughes ścisnął delikatnie guz palcami. Był twardy, ale lekarz nie wyczuwał żadnych ruchów.

– Czy to boli? – spytał.

– Jakby łaskotało. Nic więcej.

– Pani odczuwała to samo, gdy ja naciskałem – wtrącił McEvoy.

Doktor Hughes opuszczył włosy panny Tandy i powiedział, że może już się wyprostować. Przysunął krzesło i znalazł w kieszeni wymięty skrawek papieru. Zaczął pisać pospiesznie, jednocześnie mówiąc do kobiety.

– Jak duży był guz, gdy go pani pierwszy raz zauważyła?

– Bardzo mały. Mniej więcej wielkości ziarna fasoli.

– Czy rósł cały czas, czy tylko w pewnych momentach?

– Wydaje się, że rośnie tylko w nocy. To znaczy, co rano, kiedy się budzę, jest większy.

Hughes dokonywał szczegółowych zapisków na kawałku papieru.

– Czy czuje go pani normalnie? To znaczy, czy czuje go pani teraz?

– Nie wydaje się gorszy niż jakikolwiek inny guz. Ale czasami mam wrażenie, że się porusza.

Dziewczyna miała ciemne oczy, a kryło się w nich więcej obaw, niż zdradzał to głos.

– Hm. – Zastanowiła się. – To zupełnie tak, jakby komuś było niewygodnie w łóżku: wierci się, a potem nieruchomieje.

– Jak często to się dzieje?

Wygłądała na zmartwioną. Wyczuwała zdezorientowanie u doktora Hughesa i to ją niepokoiło.

– Nie wiem. Może cztery albo pięć razy dziennie.

Lekarz napisał coś jeszcze i zagryzł wargę.

– Panno Tandy, czy zauważyła pani jakieś zmiany w ogólnym stanie zdrowia przez ostatnie kilka dni, odkąd pojawił się ten guz?

– Jedynie lekkie zmęczenie. Raczej mam kłopoty ze snem, ale nie straciłam na wadze ani nic w tym rodzaju.

– Hm. – Napisał coś jeszcze i długo przyglądał się temu. – Dużo pani pali?

– Przeważnie tylko pół paczki dziennie. Nie jestem nałogowym palaczem. Teraz się denerwuję.

– Niedawno miała pani prześwietlenie klatki piersiowej – wtrącił doktor McEvoy. – Wszystko w normie.

– Czy mieszka pani sama? – spytał Hughes. – Gdzie pani mieszka?

– Tymczasowo mieszkam u cioci. Pracuję dla wytwórni płytowej jako osobista asystentka. Chciałam znaleźć samodzielne mieszkanie, ale rodzice uważają, że powinnam pomieszkać trochę z ciocią. Ona ma sześćdziesiąt dwa lata. To wspaniała starsza pani. Dobrze się rozumiemy.

Doktor Hughes pochylił głowę.

– Proszę się nie obrazić, że o to zapytam, panno Tandy, ale chyba zrozumie pani, dlaczego jestem zmuszony. Czy pani ciotka cieszy się dobrym zdrowiem i czy mieszkanie jest czyste? Nie ma w nim żadnego zagrożenia dla zdrowia, jak karaluchy czy zapchane odpływy albo resztki jedzenia?

Panna Tandy nieomal zaśmiała się, po raz pierwszy, od kiedy zobaczył ją doktor Hughes.

– Moja ciocia jest zamożną osobą, doktorze. Zatrudnia pełnoetatową sprzątaczkę i pomoc do gotowania i towarzysztwa.

Lekarz skinął głową.

– Dobrze, poprzestaniemy na tym. Doktorze, zobaczmy co z tymi zdjęciami?

Wrócili do gabinetu i usiedli. McEvoy wyciągnął gumę do żucia i zgiał ją w zębach.

– Co ty o tym sądzisz?

Hughes westchnął.

– W tej chwili nic nie sędzę. Ten guz wyrósł w dwa lub

trzy dni, a ja nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim. Do tego dochodzi to wrażenie poruszania się. Czy sam czujesz, jak się rusza?

– Oczywiście – odparł McEvoy. – Jedyne nieznaczne przemieszczanie, jakby tam w środku coś było.

– To mogą powodować ruchy szyi. Ale tak naprawdę nic nie wiemy, dopóki nie zobaczymy zdjęć.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut, a zewsząd docierały do nich odgłosy pracy szpitala. Doktor Hughes był zmarznięty i zmęczony i zastanawiał się, kiedy wróci do domu. Nie spał do drugiej w nocy, zajmując się papierami i statystyką. Zanościło się na to, że dzisiaj sytuacja się powtórzy. Pociągnął nosem i spojrzał na swój zdarty, brązowy but na dywanie.

Po pięciu lub sześciu minutach drzwi do gabinetu się otworzyły i weszła pani radiolog z dużą brązową kopertą. Lekarka była wysoka i czarnoskóra, miała krótkie włosy i traktowała wszystko niezwykle serio.

– Co o tym sądzisz, Seleno? – spytał McEvoy, niosąc kopertę przez pokój do podświetlanej tablicy.

– Nic a nic, doktorze. Jest wystarczająco wyraźne, ale to nie ma najmniejszego sensu.

Lekarz wyciągnął zdjęcie i przypiął je do tablicy. Włączył światło i wszyscy zobaczyli tył czaszki panny Tandy widziany z boku. Była też duża szarawa narośl, wewnątrz której zamiast normalnych włókien znajdował się splot tkanek i kości.

– Widzisz tutaj – powiedział McEvoy, wskazując długopisem. – Wydaje się, że są tu jakieś kostne korzenie trzymające narośl przy karku. Do diaska, co o tym sądzisz?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł Hughes. – Nigdy nie widziałem niczego, co choćby po części było do tego podobne. To wcale nie wygląda jak guz.

McEvoy wzruszył ramionami.

– Dobra, to nie jest guz. W takim razie co?

Hughes przyjrzał się uważniej zdjęciu. Płatannina tkanek i kości była zbyt bezkształtna i pomieszana, aby dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu. Pozostała tylko jedna rzecz: operować. Wyciąć i zbadać dokładnie. A zważywszy na tempo, w jakim to coś się rozrastało, operacja powinna być przeprowadzona szybko.

Podniósł słuchawkę telefonu na biurku kolegi.

– Mary? Posłuchaj. Jestem nadal u doktora McEvoya. Mogłabyś sprawdzić najbliższy dostępny termin operacji? Mam tu coś, czym trzeba zająć się pilnie. Tak jest. Tak, guz. Ale jest bardzo złośliwy i mogą być problemy, jeżeli nie będziemy szybko operowali. Właśnie. Dziękuję.

– Złośliwy? – spytał McEvoy. – Skąd wiemy, że jest złośliwy?

Hughes pokręcił głową.

– Nie wiemy, ale dopóki się nie dowiemy, czy jest niebezpieczny, czy nieszkodliwy, będę go traktować jako niebezpieczny.

– Do diaska, chciałbym wiedzieć co to takiego – po-

wiedział ponuro McEvoy. – Przejrzałem leksykon medyczny i nie ma w nim nic podobnego.

Hughes uśmiechnął się zmęczony.

– Może to nowa choroba. Może nadadzą jej nazwę od twojego nazwiska. Choroba McEvoya. W końcu sława. Zawsze chciałeś być sławny, prawda?

– Teraz wołałbym kubek kawy i kanapkę z wołowiną na ciepło. Nagrodę Nobla mogę dostać kiedy indziej.

Zadzwonił telefon. Hughes podniósł słuchawkę.

– Mary? Och, dobrze. Dobrze, świetnie. Tak, pasuje. Podziękuj doktorowi Snaithowi.

– Jest wolny? – spytał McEvoy. – Jutro rano, o dziesiątej. Pójdę przekazać wiadomość pannie Tandy.

Doktor Hughes przeszedł podwójnymi drzwiami do poczekalni, a panna Tandy nadal tam siedziała, paliła kolejnego papierosa i niewidzącymi oczami spoglądała na czasopismo na kolanach.

– Panno Tandy?

Szybko podniosła wzrok.

– Och, tak – odezwała się. Lekarz przysunął krzesło i usiadł obok niej, splatając dłonie przed sobą. Starał się wyglądać poważnie, zdecydowanie i wiarygodnie, aby ją uspokoić, bo najwyraźniej się bała, ale był tak bardzo zmęczony, że wyglądał jedynie na mocno chorego.

– Proszę posłuchać, zdaje się, że będziemy musieli operować. Nie wygląda na to, że powinniśmy się martwić tą naroślą, ale skoro rośnie w takim tempie, chciałbym ją

usunąć jak najszybciej. I chyba pani też.

Uniosła rękę do karku, a potem opuściła ją i kiwnęła głową.

– Rozumiem. Oczywiście.

– Gdyby pani mogła być tu jutro przed ósmą, to umówię doktora Snaitha na zabieg na dziesiątą. Doktor Snaith to świetny chirurg; ma wieloletnie doświadczenie z guzami takimi jak u pani.

Panna Tandy próbowała się uśmiechnąć.

– To bardzo miłe z pana strony. Dziękuję.

Hughes wzruszył ramionami.

– Proszę mi nie dziękować. Wykonuję jedynie swoją pracę. Ale nie ma się pani czym martwić. Nie będę udawał, że pani przypadek jest powszechny, bo tak nie jest. Jednak jesteśmy po to, aby zajmować się takimi niezwyklejmi przypadkami. Trafiła pani we właściwe ręce.

Karen Tandy zgasiła papierosa i zabrała swoje rzeczy.

– Czy będzie mi coś potrzebne? – spytała. – Zdaje się, że dwie koszule nocne i szlafrok?

Hughes skinął głową.

– Proszę też przynieść pantofle. W zasadzie nie będzie musiała pani leżeć.

– Dobrze – odpowiedziała.

Lekarz odprowadził ją do drzwi. Patrząc, jak pospiesznie odchodzi korytarzem do windy, i przyszło mu do głowy, że przypomina mu elfa. Nie należał do tych lekarzy, którzy myśleli o swoich pacjentach jedynie w kategoriach

ich choroby i nic poza tym. Był przeciwieństwem doktora Pawsona, pulmonologa, który pamiętał poszczególne schorzenia jeszcze długo po tym, jak zapomniał twarze, które się z nimi wiązały. Życie to coś więcej niż tylko niekończąca się parada guzów i narośli, pomyślał Hughes. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Nadal stał na korytarzu, kiedy McEvoy wystawił swoją księżycową twarz zza drzwi.

– Jack?

– Tak?

– Możesz wejść na moment i spojrzeć na to?

Zmęczonym krokiem wszedł za McEvoyem do jego gabinetu. Kiedy rozmawiał z panną Tandy, kolega przeglądał podręczniki medyczne, a całe jego biurko pokrywały rycinny i zdjęcia rentgenowskie.

– Znalazłeś coś? – spytał Hughes.

– Sam nie wiem. To wydaje się tak szalone, jak wszystko inne w tym przypadku.

McEvoy podał ciężki podręcznik otwarty na stronie pokrytej rycinami i diagramami. Hughes zmarszczył czoło i uważnie im się przyjrzał, a potem podszedł do podświetlanej tablicy i przestudiował czaszkę panny Tandy.

– To szalone – stwierdził.

McEvoy stał z rękami na biodrach i kiwał głową.

– Masz całkowitą rację. To szalone. Ale musisz przyznać, że jest całkiem podobne.

Hughes zamknął książkę.

– Jednak nawet jeżeli masz rację... W ciągu dwóch dni?

– Hm, to możliwe, wszystko jest możliwe.

– Skoro to jest możliwe, to Red Sox wygrają w następnym sezonie.

Dwaj pobladli lekarze stali w gabinecie na piętnastym piętrze szpitala i spoglądali na zdjęcie rentgenowskie, nie wiedząc, co o nim myśleć.

– Może to kawał? – zasugerował McEvoy.

Hughes pokręcił głową.

– Absolutnie. Jak by to było możliwe? I po co?

– Nie wiem. Ludzie robią takie kawały z różnych powodów.

– Możesz podać powód dla tego przypadku?

McEvoy wykrzywił twarz.

– A wierzysz, że to jest prawdziwe? – spytał.

– Tego nie wiem – odparł Hughes. – Może jest. Może to jeden przypadek na milion, który jest naprawdę prawdziwy.

Znowu otworzyli książkę i przyjrzeni się zdjęciu, a im bardziej porównywali ryciny z guzem panny Tandy, tym więcej odnajdywali podobieństw.

Zgodnie z podręcznikiem *Ginekologii klinicznej* płątanina tkanek i kości, którą nosiła panna Tandy na karku, była ludzkim płodem wielkości odpowiadającej ósmemu tygodniowi.

ROZDZIAŁ 1

Z ciemności nocy

Jeżeli sądzicie, że łatwe jest życie jasnowidza, to spróbujcie przepowiedzieć przyszłość piętnaście razy dziennie po dwadzieścia pięć dolarów, a wtedy zobaczycie, czy wam się nie odechce.

Kiedy Karen Tandy konsultowała się z doktorem Hughesem i doktorem McEvoyem w Szpitalu Sióstr z Jerozolimy, ja zapoznawałem starszą panią Winconis z perspektywami na najbliższą przyszłość za pomocą kart tarota.

Siedzieliśmy w moim mieszkaniu przy Tenth Avenue przy stoliku pokrytym zielonym suknem. Zasłony były szczelnie zaciągnięte, w kącie sugestywnie tliło się kadzidelko, a moja imitacja lampy naftowej rzucała tajemnicze cienie. Pani Winconis była pomarszczona i stara, pachniała piżmowymi perfumami i futrem z lisów, a przychodziła do mnie co piątek na szczegółowe omówienie następnych siedmiu dni.